

ZAPOMNIANA KSIĘGA
ŁOWCA

© Copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2015
Text © by Paulina Hendel 2015

Projekt okładki *black gear*

Dla Mateusza

PAULINA HENDEL

ZAPOMNIANA KSIĘGA

ŁOWCA

NASZA KSIĘGARNIA

W serii **ZAPOMNIANA KSIĘGA** :

STRAŻNIK

TROPICIEL

ŁOWCA

ROZDZIAŁ I



– Nie powinieneś nigdzie jechać w takim stanie – ocenił Jurek, patrząc na Huberta. – Gdzie ci się tak spieszy?

– Muszę odnaleźć przyjaciół – odparł, z trudem wspinając się na siodło.

Mokka jak zwykle cierpliwie stała nieruchomo, lekko zwieszając łeb.

Hubertowi zakręciło się w głowie, a rana w boku znów zaczęła rwać, teraz jednak było to bez znaczenia. Liczył się jedynie, że musiał pojechać na południe, odszukać Świącino i dowieść, że wydarzenia sprzed siedmiu lat wcale mu się nie przyśniły, a ludzie, których wtedy poznał, żyli naprawdę.

– Dziękuję za pomoc. – Uśmiechnął się do nauczyciela i machnął mu ręką na pożegnanie.

– Trzymaj się, chłopcze.

Hubert ścisnął łydkami grube boki klaczy i stępem ruszyli leśną drogą. Wiosenne powietrze było przyjemnie rześkie.

Już kiedyś to wszystko się zdarzyło. Hubert ocknął się ranny w piwnicy u Jurka, lecz nie pamiętał ostatnich siedmiu lat swojego życia. W poszukiwaniu rodziny zawędrował do Świącina, niewielkiej osady niedaleko Poznania, gdzie znalazł bezpieczną przystań. Niestety, tamta przygoda skończyła się tragicznie zarówno dla niego,

jak i jego przyjaciół. Wszyscy zginęli, ale Hubert dostał drugą szansę. Wtedy już wiedział, co należy robić, żeby przetrwać wojnę i zarazę. Postanowił naprawić wcześniejsze błędy, to jednak nie okazało się proste. Teraz, gdy historia zatoczyła koło, znów ruszał do Świącina.

Omijał miasta i wsie z obawy, że spotka ludzi o złych zamiarach. Nocował w lesie, żywił się jedzeniem z puszek, raz nawet upolował zająca i upiekł go na ognisku. Gdy brakowało wody pitnej, nacinał gałęzie brzoź, podwieszał pod nimi puste puszki i cierpliwie czekał, aż napełnią się sokiem na tyle, by mógł zaspokoić pragnienie.

– Tutaj się zatrzymamy – powiedział do klaczy, kiedy wjechali na zieloną polankę nad wąskim strumieniem.

Choć do wieczora było jeszcze daleko, to zaczął przysypiać w siodle ze zmęczenia, wszystko go bolało, dokuczała też rana.

– Nieźle mnie załatwili – mruczał, zmieniając sobie bandaż na boku, co było dość trudne, bo palce lewej ręki wciąż miał usztywnione po niedawnej walce. – Ale ja załatwiłem ich jeszcze lepiej – dodał, usiłując zagłuszyć wyrzuty sumienia.

Mokka trąciła swego pana chrapami w łopatkę. Huberta owionął jej ciepły oddech; dodało mu to otuchy.

Kiedy zmienił opatrunek, dał klaczy odrobinę owsa z worka przytroczonego do siodła. Coraz bardziej niepokoił się, że zboże jest na wyczerpaniu, nie wybaczyłby sobie, gdyby Mokka głodowała przez jego głupotę.

Z trudem uzbierał kilka gałęzi, rozpałił małe ognisko i wsunął się do śpiwora leżącego na ziemi. Skupił się, by sprawdzić, czy w okolicy nie ma żadnego demona, na

szczęście nic nie wyczuł. Usnął niemal od razu. Jednak nie spał spokojnie, co chwila budziły go koszmary i nie mógł znaleźć sobie wygodnej pozycji.

Rano czuł się tak obolały i zmęczony, jakby w ogóle nie spał.

– Dziś tam dojedziemy, zobaczysz – obiecał klaczy, zakładając jej ogłowie.

Chwycił siodło i stęknął pod jego ciężarem, zarzucając je na grzbiet konia. Dźwignął wojskowy worek pełen broni i z trudem wspiął się na Mokkę. Przed oczyma znów miał mroczki.

„Jeżeli dziś tam nie dojadę, to padnę w środku lasu – przemknęło mu przez myśl. – A wtedy nikt mnie nie odnajdzie”.

Do południa wybierał szlaki, kierując się starymi, poniemieckimi mapami, potem jednak okolica stawała się coraz bardziej znajoma. Pozwolił Mokce prowadzić, sam w tym czasie ucinał sobie w siodle krótkie drzemki. Późnym popołudniem minął drzewa z pniami pomalowanymi na wściekle żółty kolor.

– W końcu tu trafiłem – szepnął, jednak nie był w stanie wykrzesać z siebie choć odrobiny radości. Nie miał pojęcia, co powie dawnym przyjaciółom.

Pod wpływem impulsu skręcił nagle z głównej drogi w wąską ścieżkę, która prowadziła do domu Henryka. Hubert chciał wierzyć, że w przeciwieństwie do wielu święcinian mężczyzna najpierw będzie zadawał pytania, a potem strzelał.

Leśna dróżka prowadziła do niewielkiego domku z drewnianych bali. Tuż obok niego znajdowała się stud-

nia z żurawiem, a z drugiej strony, między drzewami, był ukryty wychodek. Hubert zatrzymał klacz na podwórku i spojrział w ciemne okna.

Drzwi niespodziewanie się otworzyły i ktoś wyszedł na ganek. Hubert spojrział na potężnego mężczyznę o szpakowatych włosach i twarzy naznaczonej siateczką blizn. Mimowolnie się uśmiechnął.

– Czego chcesz? – zapytał Henryk, mierząc do niego z karabinu.

– Eee... – zaczął chłopak. – Szukam... szukam...

Henryk, nie spuszczając przybysza z celownika, zszedł z trzech stopni prowadzących na ganek i zrobił kilka kroków w jego stronę.

– No słucham.

– Zabłądziłem. – Jedyne to przyszło Hubertowi na myśl. – Napadli na mnie... i... i prawie zabili, ale uciekłem...

Henryk nieznacznie opuścił karabin.

– Czy ty masz tam pepeszę? – zapytał z niejakim zdziwieniem.

Hubert pokiwał głową.

– Odrzuć ją na bok.

Chłopak wykonał polecenie.

– Teraz zsiądź z konia i się od niego odsuń.

„Zastrzeli mnie – pomyślał z niepokojem Hubert. – Już na samym początku mnie zastrzeli. Jak go przekonać, że nie jestem wrogiem?”

Zsiadł, a raczej zsunął się z klaczy i chwiejnie stanął na nogach. Kręciło mu się w głowie, lewa ręka zdrętwiała, prawą przycisnął do rany w boku.

Henryk, wciąż do niego celując, podszedł do Mokki i z cichym sapnięciem zdjął z niej worek.

– Proszę – cicho jęknął Hubert. – Nie mam dokąd iść, boję się, że znów spotkam tamtych ludzi, a... a w lesie są demony.

Gospodarz westchnął ciężko.

– No dobrze, wchodź do środka – powiedział.

Chłopak z trudem wspiął się na schodki i przekroczył próg domu. Henryk szedł tuż za nim z karabinem, ściskając w ręku podróżny worek Huberta.

Kuchnia wyglądała jak kiedyś – prowizoryczny zlew pod oknem, kilka szafek, na środku drewniany stół i kilka niedopasowanych plastikowych krzesel. Z ciężkim sapnięciem opadł na jedno z nich.

– To teraz mów, coś ty za jeden, skąd jesteś i jak trafiłeś do Święcina. – Henryk stanął naprzeciwko niego.

– Mam na imię Hubert. Jechałem przed siebie, kiedy mnie zaatakowano...

– Gdzie cię zaatakowano?

– Długo uciekałem, aż dotarłem tutaj, nie wiedziałem, że znajdę jakąś osadę. – Uznał, że lepiej udawać głupiego.

Henryk pokiwał głową, dał gościowi coś do picia, jedzenia, a potem pozwolił położyć się w łóżku w małym pokoju.

– Jakby strzeliło ci do łba zaszlachtować mnie w nocy, pamiętaj, że śpię z pistoletem pod poduszką – ostrzegł.

Hubert uśmiechnął się pod nosem. Już kiedyś słyszał podobny tekst.

W końcu odnalazł Święcino. Po siedmiu długich latach. I wszystko jest tak, jak powinno. Po raz pierwszy

od dawna usnął zdrowym, twardym snem. Tutaj był bezpieczny.

Obudził się późnym popołudniem i zaspany powłókł się do kuchni. Henryk kroił surowe mięso. Oderwał się na chwilę od pracy i utkwiał w chłopaku badawcze spojrzenie.

– Skoro jesteś już na nogach – odezwał się w końcu – możesz mi powiedzieć, co planujesz?

Hubert położył dłonie na oparciu krzesła.

– Jeszcze nie czuję się najlepiej – zaczął niepewnie. – I nie bardzo mam gdzie się podziać... Mógłbym zostać tutaj?

Henryk zmierzył go wzrokiem, nie do końca przekonany, czy ma do czynienia z osobą o zdrowych zmysłach.

– Nie potrzebujecie może strażnika? – spróbował chłopak.

– Nie.

– Mam konia, dobrze strzelam – przekonywał. – I... i tropię demony.

– Każdy dobry myśliwy potrafi wytropić demona – burknął Henryk.

– Jestem lepszy od każdego myśliwego, jakiego znasz.

Mężczyzna przyjrzał się mu uważnie.

– Dobra, powiem wprost – odparł w końcu. – Nie wiem, coś ty za jeden ani ile jesteś wart, dlatego nie wezmę za ciebie odpowiedzialności. Możesz zostać u mnie jeszcze parę dni, a potem ruszysz w swoją stronę.

Henryk odwrócił się, szukając czegoś w szafkach.

Hubert spojrział smętnie na jego szerokie plecy, a potem ukrył twarz w dłoniach.

– I gdzie ja mam iść? – jęknął cicho. – Nie mogę wrócić do domu.

Jak miał spojrzeć w twarz Ernestowi, Zuzi oraz innym mieszkańcom Dąbrówki? Czuł się winny, że sprowadził na nich niebezpieczeństwo.

Przez kolejne dwa dni Hubert przede wszystkim spał. Zamierzał porozmawiać z Sołtysem, więc musiał zregenerować siły, by zrobić jak najlepsze wrażenie. Rana w boku coraz lepiej się goiła i nie była już tak dokuczliwa. Sporo rozmyślał, ale starał się też pomagać Henrykowi w domu. Pewnego popołudnia, gdy ten wyszedł do lasu na polowanie, postanowił ugotować obiad, choć nigdy nie był w tym dobry. Wrzucił kawał mięsa do gara z wodą ze studni i postawił go na kuchnię kaflową. Pokroił warzywa i przyniósł trochę ziół rosnących za domem.

Zupa się gotowała, a on zabrał się do zmywania.

Już postanowił – następnego dnia pójdzie do Sołtysa i go przekona, że potrzebują nowego strażnika. Zadowolony, zaczął wesoło gwizdać. Humor nie popsulo mu nawet to, że przez dobry kwadrans musiał szorować piaskiem przypalone dno garnka.

Wtem usłyszał hałas przy drzwiach.

Odwrócił się i... oniemiał. Przed nim stała niezbyt wysoka, szczupła, ale umięśniona dziewczyna ubrana w zielone bojówki, czarny T-shirt i koszulę w szarą kratę. Miała twarz w kształcie serca, ciemne włosy związane w krótką

kitkę i niesamowite oczy. Jedno było intensywnie zielone, a drugie ciemnobrązowe. Zaskoczona, stanęła na środku kuchni i wpatrywała się w Huberta.

„Iza! To jest Iza!”.

Nie mógł opanować radości na jej widok. Wyglądała dokładnie tak, jak ją zapamiętał. Uśmiechnął się szeroko i wyciągnął przed siebie rękę wciąż ociekającą wodą.

Wtedy dziewczyna ocknęła się z szoku, wyszarpnęła z kabury przy pasku pistolet i wycelowała w niego.

– Coś ty za jeden?! – warknęła. – I gdzie jest Henryk?

– Jestem Hubert – odparł, wciąż wpatrując się w nią jak urzeźbiony.

Chciał postąpić krok w jej stronę, powiedzieć wszystko, wytłumaczyć...

– Nie ruszaj się! – rozkazała. – Bo cię zastrzełę.

Hubert, widząc jej minę, uznał, że dziewczyna nie żartuje.

„Pięknie, zginę nie z rąk Henryka, ale Izy” – pomyślał gorzko.

– Gdzie jest Henryk? – powtórzyła.

– Gdzie? Nie wiem. – Wzruszył ramionami. Odwrócił się i zanurzył ręce w ciepłej wodzie w misce, modląc się, żeby nie strzeliła mu w plecy. – Poszedł do lasu na polowanie.

– Jak to: na polowanie? – naskoczyła na niego. – Co ty tu w ogóle robisz?

– Zmywam naczynia, nie widać? – odparł lekkim tonem.

– Stroisz sobie ze mnie żarty?! – wybuchła, podchodząc bliżej. – Jeżeli coś mu zrobiłeś...

– Taa, zadźgałem na śmierć nożem kuchennym, zakopałem w ogródku, a że nie znoszę bałaganu, to pozmywałem za niego naczynia.

Iza zaczęła oddychać coraz szybciej.

„Ona naprawdę zaraz mnie zastrzeli” – przemknęło przez myśl Hubertowi.

Odwrócił się gwałtownie, rozchlapując na boki wodę z miski. Wyrwał dziewczynie z rąk pistolet.

Iza zamachnęła się na niego pięścią, ale przed pierwszym ciosem się uchylił, a drugi zablokował.

– Spokojnie – powiedział, odsuwając się od niej.

Wyjął z pistoletu magazynek i nabój z komory.

– Nie mam złych zamiarów. – Oddał Izie broń, amunicję zaś wsunął do własnej kieszeni.

Dziewczyna przymrużyła oczy ze złością.

– Może sobie usiądziesz, a ja zaparzę zióła i wszystko ci wyjaśnię? – zaproponował. – Przydałaby ci się melisa – mruknął pod nosem.

Iza opadła na krzesło, nie spuszczając z niego wzroku pełnego wściekłości.

Wstawił czajnik z wodą, zamieszał łyżką w zupie i nasypał ziół do dwóch kubków. Nagle Iza wstała od stołu. Hubert gwałtownie odwrócił się w jej stronę, gotowy odeprzeć ewentualny atak.

– Spokojnie – mruknęła. – Chcę dodać miodu do herbaty.

Podeszła w stronę chłopaka i wyciągnęła rękę po słoik z miodem, lecz w ostatniej chwili jej dłoń zmieniła kurs i pochwyciła duży garnek. Hubert nie zdążył zareagować

w żaden sposób. A ostatnie, co zapamiętał, to osmalony rondel lecący prosto na jego twarz.

Hubert zaczął powoli odzyskiwać zmysły. Leżał, twarz tak go bolała, że nie mógł otworzyć oczu.

– Tym razem przesadziłaś – usłyszał jak przez mgłę.

– Jak to przesadziłam?! Zabrał mi broń! Skąd mogłam wiedzieć, że to twój gość?

– Facet zmywał moje gary. Wniosek chyba prosty?

– Myślałam, że ci coś zrobił...

Hubert jęknął słabo i kłótnia ucichła. Zmusił się do otwarcia oczu. Leżał na podłodze w kuchni, a nad nim pochylali się Henryk i Iza.

– Żyjesz, młody? – zapytał mężczyzna.

– Nie! – jęknął chłopak.

– Widzisz? Nic mu nie jest – syknęła Iza.

Hubert przyłożył dłoń do obolałej lewej strony twarzy. Oko miał tak zapuchnięte, że ledwie przez nie widział.

– Nieźle cię urządziła – odezwał się Henryk.

Jak na gust Huberta, ton miał zbyt wesoły.

– Ale garnkiem? – zapytał z wyrzutem. – Co ja powiem kolegom?

– Wstawaj! – Mężczyzna wyciągnął do niego dłoń.

Kiedy Hubert się podniósł, całe pomieszczenie zatańczyło mu przed oczyma. Mało brakowało, a by się przewrócił. Henryk pomógł mu przejść kilka kroków i posadził chłopaka na krześle.

– Przyłóż to do twarzy – powiedział, podając mu kawał zimnego surowego mięsa.

– Ładnie traktujecie gości – mruknął Hubert, biorąc okład.

Iza prychnęła lekceważąco i oparła się tyłem o szafki, wciąż obserwując go spod przymrużonych powiek.

– Idę do domu – oświadczyła w końcu. – Mam jeszcze trochę do zrobienia, a jutro jest dzień handlowy.

Henryk pokiwał głową.

– Może mnie odprowadzisz kawalek? – zapytała z naciskiem.

Mężczyzna westchnął ciężko, ale wyszedł za nią z domu.

Hubert od razu podszedł do okna i patrzył, jak się oddalają. Dziewczyna coś mówiła, gorączkowo gestykulując.

– Pewnie na niego krzyczy, że przygarnia podejrzanę przybłądy – stwierdził. – Znów początki naszej znajomości nie są kolorowe.

Jednak nic nie było w stanie zagłuszyć radości Huberta. Nieważne, że go pobiła, liczyło się to, że jest cała i zdrowa. Znowu patrzy na niego wilkiem, lecz to o niebo lepsze od ostatniego wspomnienia – światła powoli gasnącego w jej dwukolorowych oczach, gdy została postrzelona w Poznaniu. Wszystko jest lepsze od tamtego. Nigdy już nie pozwoli im pójść do miasta po...

– O cholera! – Uderzył się dłonią w czoło. – Szlag by to trafił!

Zaczął miotać się po kuchni, przeklinając własną głupotę.

– Jechałem do Święcina! Jak mogłem zapomnieć?! – wyrzucał sobie. – Jak mogłem nie zabrać demonologii?!

Przyczyna była prosta – już od dawna nigdzie nie woził książki. Leżała bezpiecznie w domu Alberta razem z kopią wzbogaconą o ich notatki. W końcu wszystkich wiadomości z niej wyuczył się na pamięć. A poza tym zawsze miał w pobliżu Ernesta, który służył radą i pomocą. Hubert uświadomił sobie, że po raz pierwszy od bardzo dawna jest zdany wyłącznie na siebie.

W ramach przeprosin za zachowanie Izy Henryk pozwolił Hubertowi zostać u siebie trochę dłużej. Chłopak nie protestował, gdyż z podbitym okiem nie wypadało się pokazywać Sołtysowi.

Hubert nie za wiele rozmawiał z gospodarzem; jeżeli robili coś wspólnie, to zazwyczaj w milczeniu. Kiedyś mężczyzna przyniósł z lasu dwa zające i razem je sprawili; to znów Hubert pomógł mu przywlec przewrócone przez wiatr drzewo. Henryk najwyraźniej zaczął ufać chłopakowi, gdyż przed wyjściem do lasu oddał mu pistolet i bagnet, na wypadek gdyby coś ich zaatakowało.

– Wieczory są coraz cieplejsze – stwierdził Hubert, kiedy usiedli po powrocie na ganku, żeby odpocząć.

– Uhm – mruknął były wojskowy.

Słońce już dawno temu zaszło za horyzontem, chudy księżyc wznosił się nad drzewami. W trawie grały świerszcze, a gdzieś w gęstwinie pohukiwała sowa. Delikatny wietrzyk głąskał młode liście drzew. Było cicho i spokojnie. W oddali, za lasem, czekało Świącino.

– Pora spać – powiedział Henryk, wstając z krzesła.

Hubert pokiwał głową, ale się nie ruszył. Wiatr nagle ucichł i cały świat pogrążył się w ciszy, ciemność stała się

jakby gęstsza, a gdzieś w głębi boru rozległ się niby-ludzki płacz. Hubert zadrżał, jego serce zaczęło szybciej bić.

– Nie, nie teraz – szepnęła.

Doskonale wiedział, co to znaczy.

Henryk, słysząc go, stanął w drzwiach.

Chłopak zeskoczył ze schodków prowadzących na ganek i ruszył biegiem w las.

„Jaki dzisiaj dzień? – myślał gorączkowo, pędząc przed siebie. – Przegapiłem to!”

Stopy instynktownie niosły go przez bór, nie wiadomo, jakim cudem nie wpadł na żadne drzewo ani nie potknął się o nic w ciemnościach. Wciąż słyszał zawodzenie, które co jakiś czas przechodziło w smutny szloch. Hubert zbliżał się do głosu coraz bardziej, jeszcze kawałek, a dotrze na miejsce pierwszy. Wtem rozległo się upiorne wycie, a tuż po nim ludzki krzyk.

Za późno!

Chłopak spał wszystkie mięśnie i przyspieszył, lecz gdy pokonał niewidoczną barierę, którą odczuł niczym wyładowanie elektryczne, zachwiał się i niemal przewrócił. Jednak nie mógł się zatrzymać. Gdzieś tu była strzyga i dobrze wiedział, kogo demon zaraz zabije.

W biegu spróbował wyrównać oddech. Jedną ręką poklepał się po biodrach. Wyczuł kaburę z coltem i bagniet. Niezbyt dużo, jeżeli chciał stawić czoła strzydze, jednak było już za późno na zmianę broni.

Gdzieś za sobą słyszał ciężkie kroki Henryka, ale Hubert był młodszy, szybszy i biegł prowadzony szóstym zmysłem.

Wtem zobaczył demona. Strzyga o szarej skórze i rudych włosach przykucnęła na tylnych łapach. Posykiwała cicho, świdrując wzrokiem przerażonego człowieka, który usiłował się od niej odczołgać. Hubert z daleka dostrzegł jego bladą twarz. Wyszarpnął z kabury pistolet i strzelił kilka razy. Wiedział, że na niewiele się to zda, strzygi były bowiem odporne na kule, ale chciał odwrócić jej uwagę od ofiary. I ten manewr mu się udał.

„I co teraz, geniuszu? – zapytał sam siebie, zatrzymując się dziesięć metrów od bestii. – Masz tylko nóż i pistolet. Broń dobra na borutę, ale nie na strzygę”.

Wiedział, że są tylko dwa wyjścia: albo zabije bestię, albo sam zginie. Bardziej podobało mu się pierwsze.

Dlatego zaatakował. Z dzikim okrzykiem na ustach rzucił się na zaskoczonego demona, odrzucił pistolet i wyjął z pochwy bagnet. Strzyga, nieprzywykła do takiego zachowania ludzi, znieruchomiała i ze zdziwieniem patrzyła na szarżującego na nią chłopaka.

Hubert z impetem wpadł na bestię i nie dając jej ani chwili na reakcję, dźgnął nożem w podbrzusze. Przewrócili się na ziemię. Chłopak wylądował na demonie, wyciągnął ostrze i uderzył znowu, a potem jeszcze raz.

Strzyga wrzasnęła ogłuszająco. Zaczęła się szarpać, lecz Hubert mocno dociskał ją do ziemi. Znów wbił bagnet w cielsko potwora. Strzyga przeczuwała, że jeżeli nie zdoła się wyrwać z morderczego objęcia, zginie.

Hubert jednak powoli zaczął słabnąć. Nie doszedł jeszcze do siebie po poprzednich przygodach, a strzyga okazała się dorosłym silnym osobnikiem. Pazurami przejechała mu po plecach i wyszarpnęła się z uścisku.

Hubert z ciężkim sapnięciem dźwignął się na nogi. Znow stanęli naprzeciw siebie. Strzyga, chwając się, spojrziała mu prosto w oczy. Została ranna podczas polowania, była głodna i obolała. Powoli zaczęła narastać w niej wściekłość. Ugięła lekko łapy, gotowa do ponownego ataku, gdy w jej polu widzenia pojawił się kolejny cel. Uwierzyła, że tamten człowiek będzie łatwiejszą ofiarą niż wariat z nożem.

Hubert z przerażeniem patrzył, jak głowa strzygi odwraca się tam, gdzie pojawił się ktoś nowy. Nagle straciła zainteresowanie nim i z dzikim wrzaskiem skoczyła na chłopaka, który wyszedł zza drzew. Przybyszowi udało się strzelić dwa razy, nim wgrzyła mu się w gardło. Tym razem nie straszyla ofiary, nie bawiła się z nią, po prostu z lubością napawała się smakiem świeżej, jeszcze ciepłej krwi.

– Nie!!! – wrzasnął Hubert, po czym rzucił się na strzygę i zaczął na oślep dźgać bagnetem.

Usiłowała odtrącić go na bok i wtedy odsłoniła klatkę piersiową. Hubert, napędzany adrenaliną oraz bezsilną wściekłością, wbił bagnet prosto w serce bestii, cudem mijając mocne żebra.

Z trudem odepchnął martwe ciało demona i opadł na kolana przy jego ofierze.

– Nie – szepnął. – Nie, nie, nie, nie...

Z rezygnacją opuścił głowę, jego zakrwawione dłonie zaciśnięte na nożu opadły na ziemię. Przed nim leżał chudy, wysoki chłopak z potarganą czupryną, niewiele od niego starszy. Mikołaj był najmłodszym strażnikiem w Święcinie.

– Jakim cudem? – zapytał zrozpaczony Hubert. – Co ty tu robiłeś?

„Zmienileś bieg czasu – odpowiedziało mu sumienie. – Ale czy to dobrze? Zamieniłeś jedną śmierć na drugą”.

Gdzieś z boku usłyszał hałas. Odwrócił głowę i zobaczył Henryka z karabinem przewieszonym przez ramię i maczetą w ręku. Pomagał wstać Andrzejowi, potężnemu strażnikowi, który właśnie tej nocy miał zginąć.

– Żyjesz? – zapytał go były wojskowy.

– Powiedzmy, że tak – odparł strażnik.

Obaj podeszli do Huberta.

– Kur... – szepnął Andrzej, patrząc na martwego Mikołaja.

– Co on tu robił? – zapytał gorzko Hubert, nie podnosząc głowy. – Nie powinno go tu być!

Henryk położył chłopakowi dłoń na ramieniu, ale po chwili szybko ją cofnął.

W ciągu kilku minut wokół zaroilo się od ludzi, więc Hubert usunął się na bok. Choć on pamiętał wszystkich, nikt nie znał jego. Wolał nie rzucać się w oczy, więc schował bagnet do pochwy, podniósł z ziemi pistolet i stanął w ciemności pod drzewem tuż przy granicy światła rzuconego przez pochodnie. Śmierć strażnika była dla niego druzgocąca.

– Szedłem razem z Mikołajem – opowiadał Stanisław, najstarszy strażnik. – Kiedy młody usłyszał strzały, wyrwał przed siebie i już go nie dogoniłem.

– Kto ją tak załatwił? – zapytał głośno Marek, patrząc na poranioną i zalaną krwią strzygę.

– Ty! – Iza oskarżycielsko spojrzała na Huberta. – Co ty tutaj robisz?

Podeszła bliżej do przybysza, lecz on tylko wzruszył ramionami. Stał, patrząc obojętnie dookoła.

– To przez ciebie ten potwór zabił Mikołaja. – Dziewczyna ze złością dźgnęła palcem powietrze.

– Iza, daj spokój – odezwał się pojednawczo Henryk. – Gdyby nie on, mielibyśmy dwa trupy, a nie jednego.

– Ma rację, uratował mnie – dodał Andrzej.

„Wcale nie ma – pomyślał Hubert. – Gdyby nie ja, wciąż byłby jeden trup, tylko że nie Mikołaj”.

Kilka osób poniosło ciało młodego strażnika do osady, pozostali stanęli nad martwą strzygą.

– Musimy coś z tym zrobić – powiedział Marek. – Tak żeby się nie odrodziło ani nie wstało z grobu.

– Spalcie ją w cholerę – mruknął Hubert, nie dbając o to, że nie zdobędzie kolejnego zęba do swojej kolekcji.

Odwrócił się i odszedł w głąb ciemnego lasu. Idąc, słyszał za sobą klótnię, lecz jemu było to obojętne.

„Zmieniłeś bieg czasu...”.

„Przynajmniej żona Andrzeja się ucieszy” – pomyślał z goryczą.

Kiedy dotarł do samotnego domku w lesie, poszedł do szopy, do Mokki. Przytulił się do jej szyi. Klaczy widocznie nie odpowiadał zapach krwi na jego rękach, więc zaczęła się wiercić i rzeć z niezadowoleniem.

– Wredna szkapa – mruknął Hubert.

Wszedł do domu, zapalił lampkę naftową i dokładnie wyszorował ręce oraz bagnet w misce z wodą. Potem zdjął

zakrwawione ubranie i z zaskoczeniem odkrył, że koszulka jest w strzępach. Dopiero wtedy poczuł pieczenie skóry na łopatkach. W małym lustrze zobaczył, że całe plecy ma podrapane. Na szczęście żadna rana nie była głęboka.

– Nieźle cię załatwiła – podsumował Henryk, kiedy zobaczył chłopaka przeglądającego się w lustrze.

– Mikołaja gorzej – mruknął, biorąc nową koszulkę.

– Poczekaj, trzeba to opatrzyć, bo jeszcze wścieklizny dostaniesz. Siadaj. – Mężczyzna podsunął mu krzesło.

Hubert usiadł okrakiem na siedzisku, łokcie położył na oparciu. Syknął cicho, kiedy Henryk zaczął przemywać mu plecy.

– Nie jęcz. O, a to po czym? – zapytał, klepiąc ranne go w lewe ramię.

– To? – Hubert zerknął na pojedynczą bliznę sięgającą od łopatki poprzez biceps aż do wewnętrznej strony łokcia. Nie dość, że była szeroka, to jeszcze krzywo zszyta. – Po biesie. – Machnął ręką. – Młody, głupi byłem i brałem go na przetrzymanie, kto pierwszy wymięknie.

Henryk nie dopytywał, na czym owo przetrzymanie miało polegać.

– Gotowe – rzekł z zadowoleniem, gdy skończył smarowanie ran olejem z dziurawca.

Chłopak nie odpowiedział, włożył czystą koszulkę i położył ostrzem na stole swój bagnet.

– Skąd wiedziałeś, że ta strzyga tam jest? – zapytał po chwili Henryk. – Słuch mam dobry i wiem, że tutaj nie było słyhać, a ty jak szalony pobiegłeś prosto na nią.

– Przecież mówiłem, że tropię demony. – Hubert wzruszył ramionami.

– Ale kto atakuje strzygę z samym nożem?

„Jak głupi rzucasz się na demony, nie myśląc ani o konsekwencjach, ani o tym, kogo narażasz” – zadźwięczały mu w głowie słowa Ernesta.

Znów ruszył na biesa, nie zastanawiając się nad tym, co może się wydarzyć.

– Słuchaj, Mikołaj to był fajny chłopak, ale to nie twoja wina – powiedział Henryk. – Gdyby nie wyrwał tak do przodu, pewnie by żył. Nic nie mogłeś zrobić.

– Do dupy z tym wszystkim – odezwał się Hubert. – Idę spać.

Wstał z krzesła i powłókł się do swojej sypialni. Nie chciało mu się nawet zdejmować ubrań, więc po prostu runął na łóżko i od razu zasnął.

Następnego dnia do domu Henryka wpadła Iza. Ob rzuciła Huberta wrogim spojrzeniem i usiadła za stołem.

– Mój ojciec chce z tobą rozmawiać – rzuciła w końcu do chłopaka.

Hubert spojrział na nią ze zdziwieniem. Czegóż mógł od niego chcieć Marian Kościuszko?

– Po co? – zapytał.

– Skąd mogę wiedzieć? – warknęła. – No już, zbieraj się i idziemy. Aha, w południe będzie msza.

„O nie, nie dam ci się zastraszyć – pomyślał Hubert, patrząc, jak dziewczyna wstaje i wyczekująco na niego zerka. – Nie mam już siedemnastu lat”.

Powoli wstał od stołu, potem, nie spiesząc się, zapiął pas z coltem i włożył bluzę od munduru. Skinął głową na znak, że jest gotowy.

Iza zirytowana zmrużyła oczy i nie oglądając się za siebie, wymaszerowała z domu. Bez pośpiechu ruszył za nią.

„Nic się nie zmieniła – myślał. – Wciąż na mnie zła”.

Wyszli z lasu na szeroki gościniec, minęli pola uprawne, a potem bramę, gdzie trzymali wartę Stanisław i Jacek. Lekko skinęli im głowami. Hubert pozwolił Izie poprowadzić się przez osadę, z rozrzewnieniem przypatrząc się domom i ludziom. Wszystko wyglądało tak, jak zapamiętał – zadbane budynki, ogrody z kwiatami, dzieci bawiące się na drodze, kościół z muru pruskiego i plac, gdzie urządzano zabawy. W końcu stanęli przed starą szkołą zbudowaną z czerwonej cegły. Weszli do środka, a dalej chłodnym korytarzem ruszyli do gabinetu Sołtysa. Za biurkiem z dykty siedział zażywny mężczyzna z czerwoną twarzą i łysiną na czubku głowy.

– Tato, to on – odezwała się Iza.

Marian podniósł głowę i bacznie przyjrzał się przybyszowi.

– A więc to tobie zawdzięczamy zabicie strzygi? – zapytał.

Hubert skinął głową.

Sołtys mierzył go wzrokiem, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Szukam miejsca, gdzie mógłbym się zatrzymać na jakiś czas – powiedział chłopak.

– Co potrafisz?

„Teraz mógłbym go przekupić demonologią” – przemknęło przez myśl Hubertowi.

– Wszystko, co trzeba zrobić w gospodarstwie – odparł. – Mam własnego konia, broń i amunicję. Ale przede wszystkim: znam się na demonach.

Marian zmrużył lekko oczy.

– Łowca demonów, co? – rzucił.

– Można tak powiedzieć – odrzekł powoli Hubert.

Kątem oka zerknął na Izę, która nie wyglądała na zachwyconą.

– Dobrze więc, dostaniesz posadę strażnika, zagwarantujemy ci mieszkanie i wyżywienie. Lecz pamiętaj, na razie będziesz na okresie próbnym.

– Zgoda. – Chłopak wyciągnął rękę do Sołtysa.

– Witamy w Świącinnie. Jestem Marian Kościuszko. – Mężczyzna uścisnął gościowi dłoń. – Izo, pokaż naszemu nowemu strażnikowi jego kwaterę. Ty będziesz za niego odpowiedzialna.

Dziewczyna prychnęła ze złością.

– Zatem idziemy! – warknęła i wymaszerowała z gabinetu.

Hubert, unosząc kąciki ust w lekkim uśmiechu, powędrował za nią do starego domu na uboczu.

Stanęli przed zmurszałym płotem, chłopak zastygł w bezruchu i spojrzął na budynek. Poczul ciepło w sercu. Domek był odrobinę przekrzywiony, a mech porastał grubą warstwą lekko zapadnięty dach. Szara elewacja bynajmniej nie wyglądała dobrze, ogródek zarósł, jakby ktoś podlewał chwasty wyjątkowo skutecznym nawozem.

– No co tak stoisz? – prychnęła Iza. – Chodźże.

Z trudem otworzyła stare, powyginane od wilgoci drzwi.

– Mieszkała tu stara wdowa Niwicka, ale zmarła zimą – wyjaśniła.

Hubert wszedł do środka. W nozdrza buchnęła stęchlizna. Z uśmiechem błakającym się na ustach zajrzał do dwóch niewielkich pokoi, dłonią pogłodził stare łóżko, a potem przeszedł do kuchni, gdzie pod oknem ustawiono stół przykryty wyblakłą ceratą w kwiaty. Pod ścianami stały wypaczone szafki, lodówka ze sparciałymi uszczelnkami i kuchenka westfalka.

– Z czego się tak cieszysz? – zapytała podejrzliwie Iza.

– Podoba mi się tu – odparł.

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

Hubert odwrócił się do niej i rzekł poważnie:

– Posłuchaj. Nie zaczęliśmy naszej znajomości najlepiej i to ja jestem stroną poszkodowaną. Ale chcesz tego czy nie, zamierzam się tutaj zatrzymać i zostanę strażnikiem, a ty będziesz musiała znosić moje towarzystwo. Może więc zacznijmy od początku. Jestem Hubert. – Wyciągnął w jej stronę dłoń.

Dziewczyna się zawahała.

– Iza. – Uścisnęła mu mocno rękę.

– Czyli wszystko jasne. – Rozpogodził się. – Muszę teraz wrócić po swoje rzeczy.

– Odprowadzę cię do bramy – zaproponowała.

Hubert szedł lekkim krokiem do domu Henryka. Radością, że znów jest strażnikiem Świącina, próbował uciszyć wyrzuty sumienia. W tragicznych okolicznościach stracił już wiele osób, sam zabijał, lecz ta świadomość wcale nie

pomagała mu pogodzić się z tym, że przez niego zginął Mikołaj.

„A co jeżeli będzie tak zawsze? Jeżeli nie mam wpływu na to, czy ktoś umrze, czy nie?”.

Potrząsnął głową, usiłując odpędzić ponure myśli.

Kiedy dotarł na miejsce, pokrótce streścił Henrykowi przebieg spotkania z Sołtysem, a potem zaczął się pakować.

– Dziękuję ci za pomoc – powiedział, stając w drzwiach ze swoim workiem. – Gdyby nie ty... – Pokręcił głową.

– Trzymaj się, zobaczymy się później. – Mężczyzna jak zwykle był konkretny i mało wylewny.

Hubert osiodłał Mokkę, przerzucił przez siodło worek i wskoczył na grzbiet klaczy.

– Będzie dobrze, zobaczysz – obiecał zwierzęciu.

Przed południem zaprowadził kobyłę do stajni Maciejaka i poprosił, żeby się nią zaopiekował. Stary pijak mruczał pod nosem, że nie ma czasu, ale klacz przyjął.

– Wreszcie jestem w domu. – Hubert rzucił się na łóżko, wzbijając w górę tumany kurzu z pościeli. – Trzeba jeszcze tylko wszystko naprawić.

Kilka ubrań, które zabrał, wrzucił do jednej szafy, a drugą przeznaczył na broń. Na półce ułożył pepeszę, siatkę pełną naboju, kilka granatów i osobno zapalniki do nich. Wzrok chłopaka padł na szafkę nocną, gdzie kiedyś trzymał zdjęcie rodziny. Zostawił je, gdy wyruszył do Poznania, skąd nigdy już nie wrócił. Teraz fotografia została w domu Alberta w Dąbrówce. Tak samo jak demonologia. Hubert poczuł złość na samego siebie, że zapomniał

o książce. Gdyby teraz pokazał ją Izie, dziewczyna nigdy nie wpadłaby na pomysł straceńczej wyprawy do biblioteki. Niedbale rzucił na szafkę woreczek z zębami demonów, których miał już pokaźną kolekcję.

Za pięć dwunasta przypomniał sobie o pogrzebie. W biegu zapinając bluzę od munduru, popędził do kościoła i stanął z tyłu, obok Henryka.

Nikt nie zaprosił Huberta na stypę, więc po pogrzebie wrócił do domu i zabrał się do porządków. Szorował właśnie blaty szafek, kiedy rozległo się pukanie i zanim zdolał zareagować, do kuchni wmaszerowała Iza.

– Mam iść z tobą na patrol i wszystko ci pokazać – powiedziała, jasno dając do zrozumienia, że mogłaby się zająć czymś ciekawszym.

Hubert wiedział jednak, że to poza. Iza zgrywa twardą, lecz tak naprawdę jest bardzo opiekuńcza. Uśmiechnął się do niej szeroko, założył pas z coltem i razem ruszyli w kierunku stajni Maciejaka.

Dziewczyna była wyraźnie zdziwiona, że już załatwił dla swojej klaczy miejsce w przytulnym boksie, tuż obok jej wałacha, Hermesa, ale nie skomentowała tego.

Jechali stępą przez wieś. Iza opowiadała Hubertowi o mieszkańcach i co gdzie się znajduje, ale on przecież to wszystko wiedział. Słuchał jej więc tylko jednym uchem, rozglądając się ciekawie.

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz? – naskoczyła w pewnej chwili, kiedy wyjechali za bramę.

– Co mówiłaś? Bo się zamyśliłem. – Odwrócił głowę w jej stronę.

Dziewczyna zagotowała się ze złości.

– Pytałam, czy w okolicy może pojawić się jeszcze jakaś strzyga – cedziła słowa powoli i wyraźnie.

– Aa, strzyga... nie wydaje mi się. Są bardzo terytorialne.

– Słucham?

– Strzygi wyznaczają sobie duże obszary łowieckie i nie pozwalają innym osobnikom na nie wchodzić, z wyjątkiem tych krótkich chwil, kiedy łączą się w pary.

Iza zamrugwała i zmarszczyła brwi.

– Jak to: „łączą się w pary”? – zapytała w końcu.

– Normalnie. Nie będę przecież udzielał ci lekcji biologii.

– Ale strzyga ze strzygą?

– Nie, ze strzygoniem – poprawił ją, ciężko wzdychając.

– A jak taki strzygoń wygląda?

Zainteresowała się tak bardzo, że na chwilę porzuciła pozę gniewnej strażniczki.

– Uwierz mi, że nie chcesz wiedzieć – odparł.

„Ja też nie chciałbym wiedzieć” – pomyślał gorzko.

Iza zapatrzyła się w dal i przez dłuższy czas jechali w milczeniu, aż dotarli na niewielką polanę, gdzie pasło się stadko owiec. Wszystkie jeszcze z długą wełną, lecz już niedługo miało się odbyć strzyżenie, zatem kobiety czekało mnóstwo pracy przy praniu, gręplowaniu i przędzeniu.

W Dąbrówce nie hodowano owiec, wełnę, z której robiono swetry, szaliki i czapki, kupowano od mieszkańców Orlej.

Iza rozsiodła konia i pozwoliła mu paść się na zielonej trawie. Hubert po chwili zrobił to samo co dziewczyna.

Usiedli na ziemi, patrząc na wierzchowce. Mokka położyła się i z lubością zaczęła tarzać w trawie. Słońce świeciło wysoko nad horyzontem, wiosenne, zielone liście pobliskich drzew drżały w lekkim wietrze.

Wracając do wsi, zahaczyli o pasiekę, gdzie w równych rzędach stały kolorowe ule, na które Hubert patrzył z zazdrością. Gdy przebywał w Świącinie w tym innym życiu, nie zwrócił na nie uwagi, ale teraz wiedział, jak ważne są pszczoły. Miód lubił przecież prawie każdy, szczególnie kiedy trudno było o cukier, z wosku robiono świece, a kitu pszczelego, zwanego propolisem, używano na rany i oparzenia, ze względu na jego silne właściwości bakteriobójcze. W Dąbrówce mieli zaledwie kilkanaście uli.

– Funkcję naszego bartnika pełni Rafał – odezwała się Iza. – Jeszcze go nie widziałeś.

Hubert z uśmiechem pokiwał głową.

Zakończyli patrol, zajęli się końmi i prosto ze stajni udali się do piwnicy szkolnej. Przeszli chłodnym i wilgotnym korytarzem z niskim, popękany stropem i ścianami niegdyś pomalowanymi na beżowo. Minęli zamknięte drzwi od rupieciarni i weszli do ciemnego, niedużego pomieszczenia. Dwa małe okienka pod sufitem wpuszczały niewiele światła. Hubert z rozrzwieniem wpatrywał się w poustawiane w nieładzie krzesła i ławki, a pod ścianą zauważył drewnianą skrzynkę. Zajrzał do środka i zobaczył równo poukładane opakowania z nabojami.

– Skąd je macie? – zapytał.

– Co? Naboję? – Iza spojrzała na niego. – A różnie. W okolicznych wioskach było paru kłusowników. Wiesz, przed wojną nikt się specjalnie nie chwalił, że kłusuje,

i po zarazie trzeba było porządnie przeszukać wszystkie domy. No i mój ojciec zorganizował kilka wypadów na posterunki policji. W jednym magazynie znaleźli skład różnych karabinów, pistoletów i amunicji, pewnie skonfiskowanej jakiemuś entuzjaście broni palnej. Stamtąd mam mojego browninga.

– A nowe produkujecie?

– Pewnie. Henryk przywiózł z jakiegoś magazynu mnóstwo spłonek, a proch bierze ze starej amunicji artyleryjskiej. Trzyma ją... zresztą nieważne – zmitygowała się, nie chcąc zdradzać mu zbyt wielu szczegółów. – W każdym razie używamy amunicji bardzo oszczędnie. Na polowania do lasu zazwyczaj chodzi jedynie Stanisław, który dwa razy się zastanowi, zanim strzeli. Trochę nabojów trzymamy też w stróżówce, na wszelki wypadek. A poza tym większość broni posiadanej przez cywilów to zwykle straszaki. Dlatego każdy chodzi z nożem.

Hubert pokiwał głową. Kiedyś, gdy zobaczył Henryka z maczetą, myślał, że ten się popisuje, teraz wiedział, że była to forma oszczędności.

Zamknął skrzynię i zerknął na niedbale nabazgrany na kawałku tektury kalendarz, aż w końcu zatrzymał wzrok na tablicy, na której wypisano kredą grafik pełnienia dyżurów.

– Przejmiesz warty Mikołaja. – Iza wyrwała go z zamyślenia.

Podeszła do tablicy i z każdej kolumny wymazała gąbką imię młodego strażnika. Hubert zauważył, że zaciska przy tym zęby i stara się nie okazywać emocji.

– Przepraszam – odezwał się.

- Za co? – Odwróciła się do niego, mrugając powiekami.
- Że nie zdołałem go uratować.
- Gdyby nie ty, zginąłby również Andrzej – powiedziała. – Nie masz za co przepraszać.

I choć starała się ukryć swoje uczucia, wydawało mu się, że jednak ma do niego żal. Hubert pojawił się znikąd, a wraz z nim strzyga, która zabiła strażnika.

Ledwie Iza zdążyła wpisać jego imię w wolne miejsca kalendarza, do piwnicy przyszli Stanisław i Marek. Dziewczyna oficjalnie przedstawiła im nowego strażnika, a chłopak uśmiechnął się do starych znajomych. Stanisław, potężny mężczyzna koło sześćdziesiątki, mocno uściśnął mu dłoń i powiedział, że z radością wita go w Świącinie. Marek nie był podobnie wylewny. Tylko skinął mu głową.

Wieczorem, gdy Hubert leżał we wciąż niewywietrzonym łóżku i wpatrywał się w znajomy ciemny sufit, zaczął się zastanawiać nad wydarzeniami z kilku ostatnich dni.

Został ranny, trafił do domu Jurka, nauczyciela historii, ale potem wszystko zaczęło iść na opak. To nie Iza go znalazła, a strzyga zaatakowała, kiedy jeszcze mieszkał u Henryka, i zginął nie ten mężczyzna, który miał zginąć.

- Pozmieniałem wszystko – mruknął.

Zresztą jak mógł nie pozmieniać, skoro nie był już tym samym człowiekiem? Zrobiło mu się przykro, kiedy zdał sobie sprawę, że to właśnie tamtego nierozgarniętego chłopaka tak wszyscy polubili.

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.

02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c

tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49,

faks 22 643 70 28

e-mail: naszaksiegarnia@nk.com.pl

Dział Handlowy:

tel. 22 331 91 55, tel./faks 22 643 64 42

Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 641 56 32

e-mail: sklep.wysylkowy@nk.com.pl www.nk.com.pl

Książka została wydrukowana na papierze

Ecco Book Snow 53 g/m² wol. 2,4.

ANTALIS Polska

Redaktor prowadzący *Anna Garbal*

Korekta *Zofia Kozik, Malwina Łozińska, Jolanta Karas*

Opracowanie DTP *Agnieszka Czubaszek-Matulka*

ISBN 978-83-10-12840-9

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2015 r.

Wydanie pierwsze

Druk: Drukarnia POZKAL, Inowrocław